Nr. 37. We Lwowie dnia 16. września 1900. Rok 8.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

Dynamika społeczna

(Historjozofja).

Ta część dynamiki społecznej, która zajmuje się postępową ewolucją form życia społecznego, obejmując dzieje rodu ludzkiego od samego początku, właściwie jest najwyższem uogólnieniem historji powszechnej, tem co otrzymało od niemieckich myślicieli nazwę historjozofji.

Zgodnie z zasadą rozwoju umysłowości ludzkiej, na początku panował teologiczny pogląd, który rozpoczynał od doskonałego i błogiego istnienia człowieka i w upadku jego cielesnym i moralnym widział wszystkie dalsze następstwa. Ma się rozumieć, że wobec takiego zapatrywania się, pojęcie postępu może być tylko warunkowe, przedstawia się on bowiem w każdym razie jeno jako powrót do pierwotnej czystości i doskonałości. Spadkobiercą teologicznego poglądu był metafizyczny. Uważał on stan naturalny, w jakim się znajdowała pierwotna ludzkość, jako najodpowiedniejszy dla jej potrzeb i skłonności, a więc dający jej największą sumę zadowolenia. Cywilizacja zaś, w miarę tego wzrostu, oddalała ludzi od tego stanu pierwotnej szczęśliwości, zamącała coraz bardziej czystość źródła życiowego, z korzenia silnego pędziła płonki coraz lichsze, coraz słabsze. Dopiero ze wzmaganiem się wiedzy doświadczalnej, z rozszerzaniem się zakresu owej, kształtuje się prawdziwe pojęcie postępu. Jest ono — można powiedzieć — płodem XVIII stul., jest ono skutkiem rosnącej czci dla wiedzy ludzkiej, jest uznaniem potęgi rozumu ludzkiego. Podług pozytywnego poglądu, „wiek złoty rodzaju ludzkiego, mówiąc słowami Saint-Simona, nie jest za nami, ale przed nami“; przeciwnie, cofając się wstecz, jesteśmy bliżsi do świata zwierzęcego z jego zwierzęcymi objawami.

Wyszedłszy ze stanu zwierzęcego, ludzkość przebywała długą drogę, zanim doszła do dzisiejszego stanu cywilizacji. Dzikość, barbarzyństwo i cywilizacja — to trzy wielkie okresy rozwoju ludzkości. Za przykładem Fourier'a, nazwę cywilizacji, niektórzy socjologowie zaczynają stosować do tego okresu, w którym własność osobista i indywidualizacja społeczna przedstawiają się jako główne znamiona. Fourier nowemu okresowi, który ma nastąpić po cywilizacji, daje nazwę *gwarantyzmu*. Byłby to okres — mówiąc słowami Stefana Cabet'a — „asekuracji wzajemnej i powszechnej, wszystkich dla wszystkich“, za pomocą której „społeczeństwo zabezpieczałoby czyli gwarantowało każdemu za pracę umiarkowaną z jego strony: wychowanie, możność zawarcia małżeństwa, pożywienie, mieszkanie, słowem wszystko niezbędne“.

Okresy te jednak są zanadto wielkie i zanadto ogólne i z tego powodu nie wystarczają do dokładniejszego ujęcia całości dziejów ludzkich. Usiłowano więc ustanowić bardziej szczegółowy podział. Littré, opierając się na etnologji i historji zaznaczył siedm głównych szczebli. Na najniższym mieści dzikich i nędznych tubylców Nowej Holandji (Australji). Na wyższym stopniu stoją Czerwonoskórcy amerykańscy. Społeczeństwa murzyńskie we wnętrzu Afryki, przedstawiające już wyższe formy ustrojowe, zajmują trzeci szczebel. Na czwartym umieścić można przedkolumbowe państwa: meksykańskie i peruańskie. Wyżej już są posunięte państwa Indjan, Chińczyków, Tatarów i Japończyków. Na szóstym szczeblu stoją narody i państwa muzułmańskie. Najwyższy wreszcie szczebel zajmują narody chrześcijańskie Europy i z kolonizacji ich powstałe społeczeństwa w Ameryce i Australji. Uszczeblowanie to zasługuje na uwagę głównie z powodu swojej metody pozytywnej.

Czy jednak te szczeble są istotnie szczeblami całej ludzkości, czy też przedstawiają tylko formy rozwojowe, do których każda rasa ludzka z osobna w swym rozwoju doszła?

Jakąkolwiek przyjęlibyśmy hypotezę: jedno lub wielopochodności rodzaju ludzkiego, to jednak jest rzeczą pewną, że w rozwoju rozmaitych ras istnieje tyle podobieństwa, iż wydaje się jakoby istniał jeden wspólny dla wszystkich plan rozwojowy. Nasypy ziemne rozmaitego rodzaju, rozkopywane przez archeologów w Europie, są dziełem ludów zamierzchłej przeszłości, a tymczasem, jeszcze dzisiaj dzikie plemiona sypią podobne.

Śmietniska kuchenne, napotykane w Danji, odnajdujemy w porzeczu Amazonki. Nawodne budowle, które odkryto w takiej obfitości na jeziorach szwajcarskich, można dzisiaj jeszcze widzieć u Papuasów na Nowej Gwinei i w Afryce środkowej nad jeziorem Czad. Wyroby ręczne z krzemienia, kości, rogów, znajdowane w jaskiniach francuskich i spółczesne mamutom i reniferom w środkowej Europie, nie różnią się od dzisiejszych wyrobów eskimoskich. Etnologowie wykazali podobieństwo pomiędzy różnorasowemi plemionami, oddalonemi od siebie rozległą przestrzenią lub długim łańcuchem stuleci, zarówno w dziedzinie wierzeń i podań religijnych, w utworach wyobraźni i rozmyślania, jak w obyczajach i formach życia wspólnego. Podobieństwo to — podług Lubbock'a — jest często większe pomiędzy różnorasowemi plemionami, znajdującemi się na jednym i tym samym szczeblu rozwoju, aniżeli pomiędzy różnoszczeblowemi formami ustrojowemi jednej i tej samej rasy.

I z innych względów mamy podstawę przedstawiać sobie cały rodzaj ludzki jako szczeblującą w swoim rozwoju ludzkość. Antropologowie w badaniach swoich przyszli do tego przekonania, że istniejące rasy, pomimo swej różnorodności, pokrzyżowały się z sobą, i że dzisiaj nie ma już rasy, którą możnaby było uważać za zupełnie czystą od obcych przymieszek. Jak zauważałem już w innem miejscu, Paweł Topinard jest tego mniemania, że liczba wyraźnie odgraniczonych od siebie ras była początkowo ogromna, ale skutkiem krzyżowania się onych z sobą wciąż się zmniejszała, i że podług wszelkiego prawdopodobieństwa w przyszłości wytworzy się jeden tylko wspólny typ ludzki. Jeszcze widoczniejszem jest to krzyżowanie się w dziedzinie duchowej. Japończycy studjują Herberta Spencera, Chińczycy tłumaczą dzieła lekarskie i techniczne z europejskich języków, dzikie jeszcze niedawno oceanijskie plemiona przyswajają cywilizację europejską. Z historji religij przekonywamy się, że rozmaite wierzenia wędrowały od jednych do drugich ludów, wreszcie czyż od lat dziecinnych na naszym aryjskim umyśle nie wyciskała swego piętna semicka Thora, która — jak to badania wykazują — powstała u Żydów po Babilońskiej niewoli, po oznajomieniu się z teorjami i podaniami indyjskiemi, a więc wchłonęła w siebie pierwiastki aryjskie. Badania folklorystyczne wykrywają, że nawet to, co wydaje się być wytworem ludowym, zupełnie swojskim (podania, pieśni), bywa często odgłosem z dalekich zamorskich krajów.

Rozwój ludzkości przedstawia się jakby obraz hydrograficzny kuli ziemskiej. Na niezliczonych punktach jej powierzchni sączą się drobne strumyki, które wlewają się do rzeczek, a z tych powstają wielkie rzeki i zlewają swe wody do mórz, a te otwierają swe ujścia do bezbrzeżnego oceanu. Morzami możemy nazwać te rozmaite cywilizacje, które powstawały w biegu dziejowym i które zachowują jeszcze właściwy swój charakter. W Azji naprzykład, oprócz napływającej coraz silniej cywilizacji europejskiej, mamy jeszcze japońską, chińską, mongolską, indyjską, sjamską, birmańską. Niektóre cywilizacje — jak dawne morza geologiczne — wsiąkły niejako w ziemię, zniknęły. I tak na wschodnim brzegu Afryki, w Batua, napotykamy ślady jakiejś zaginionej cywilizacji. W niedostępnych lasach meksykańskich, w których — jak się zdawało — nie postała była jeszcze stopa ludzka, w prowincji Chiapa, znaleziono zwaliska dwóch wielkich miast, co świadczy, że istniała tam już jakaś cywilizacja przed znanemi trzema przedkolumbowemi.

Pierwotnym stanem społeczeństw ludzkich była d z i k o ś ć, to jest taki stan, w którym społeczeństwa te miały wiele jeszcze podobieństwa do społeczeństw małpich; w którym potrzeby życia cielesnego niemal wyłącznie panowały, życie zaś duchowe (psychiczne) zaledwie jeszcze słabym płomykiem drgało.

Paleontologowie wypowiadali już to zdanie, że dość wysoki stopień rozwojowy, na którym ukazują się ludzie w epoce czwartorzędowej, każe przypuszczać przed niemi istnienie długiego szeregu ich przodków, i że ślady tych ostatnich znaleść się muszą w warstwach trzeciorzędowych. I istotnie w 1894 r. holenderski lekarz wojskowy, Eug. Dubois, podczas swej wycieczki geologicznej na wyspę Jawę, znalazł tam w pliocenie rozmaite części kości jakiejś nieznanej dotąd istoty pośredniej pomiędzy małpą i człowiekiem. Z powodu tego odkrycia powstał spór pomiędzy antropologami europejskimi, z których jedni utrzymują, że znalezione kości należą do znajdującej się na najniższym stopniu rozwojowym rasy ludzkiej, drudzy zaś, że są one pozostałością po małpach człekopodobnych z najwyższego stopnia rozwojowego. Słusznie więc antropolog francuski, Manouvrier, przychodzi do tego wniosku, że z punktu widzenia teorji transformistycznej, oba powyższe twierdzenia świadczą, że znaleziono w pliocenie ślady rasy, którą nie tylko za poprzednika, ale i za przodka rodzaju ludzkiego uważać można.

Dokumentami, na których opierać możemy nasze wnioskowania o pierwotnych społeczeństwach ludzkich są kopalne pozostałości pracy ręcznej człowieka i kopalne — rzec można także — pozostałości pracy umysłowej w jego mowie. Dostarcza tych dokumentów przedewszystkiem kopalna etnologja, czyli paleetnologja, tak nazwana przez Gabrjela de Mortilleta, i następnie porównawcza filologja. Ułatwia i wspiera logiczne wysnuwanie wniosków, opartych na powyższych

dokumentach, etnologja, przedstawiając obecnie istniejący stan dzikich plemion. Wypada jednak zauważać, że w pewnej tylko mierze może ona ułatwiać tę pracę. Najdziksze dzisiejsze plemiona przedstawiają już stan odmienny od tego, jaki się przejawiał na najpiewszych szczeblach rozwoju ludzkości. Znany paleontolog francuski, Albert Gaudry, o okrzesywaczach krzemienia, ślady istnienia, których znaleziono we Francji, słusznie napisał uwagę, że niepodobna przypuszczać, aby oni pozostali sami tylko niezmienni, kiedy wszystko dokoła się odmieniło. Powstały nowe lądy, zanurzały się dawne, zmienił się klimat, pojawiła się nowa flora, wyginęły dawne olbrzymy zwierzęce. Zmiany geologiczne, zmuszając człowieka do przystosowywania się do nowych warunków, musiały wywrzeć wpływ i na jego budowę cielesną i na jego sposób życia. Znowu — podług teorji walki o byt — piewotne plemiona ludzkie jako formy pośrednie, przejściowe prawdopodobnie wyginąć już musiały. Wreszcie — jak już zauważałem — antropologowie przyszli do tego wniosku, że niema dzisiaj rasy bez domieszki krwi obcej. Jeszcze bardziej można to powiedzieć o obcych naleciałościach w ustroju i życiu społecznem dzikich plemion, pamiętając, że już pomiędzy małpami ważnym przejawem ich inteligencji jest popęd naśladowczy. C. d. n.



ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

11) Obraz historyczny.

Matka Jana nie widziała już tego wszystkiego ani słyszała. Skoro tylko rządca Kosz jął czytać o przywilejach, oddała Pawełka matce, a sama prześlizgnąwszy się szczęśliwie między żołnierstwem i ludem, pognała, jak mogła najszybciej, do chałupy. Wracając spotkała we wrotach Iskrę, który wpadł na podwórze, jak szalony.

— Co się stało? – zapytała z przestrachem Sladkowa.

— Źle, strasznie źle się dzieje! Żołnierstwo ma rozkaz przeszukania wszystkich chałup...

— A panowie?...

— Odjechali do Tranowa, lecz wojsko zostało, a rządca z Kęt strasznie pomstuje na Sykę i na Jana...

— Czegoż chce?

– Wiadomo czego: dokumentów. U Syki już żołnierstwo pięknie gazduje w chałupie... Hanka wasza śluzami się zalewa i ręce łamie.

— A Jan?...

— Jako skała.

Stara nie pytała już o nic więcej, jeno pomknęła, jakby skrzydła ją niosły, ku wójtowstwu.

Ponury widok przedstawił się jej oczom, gdy wpadła do obszernej izby. W jednym rogu stał — obok starego swego ojca — Maciej Przybek, skrępowany powrozami, — w drugim żołnierze płazowali szablami Sykę i Jana, aby zmusić ich do wyznań, a Hanka, tuląc dziecko do piersi, klęczała przed Koszem i błagała o zmiłowanie nad mężem.

— Hanko, wstań-że przecie, nie uniżaj się nadaremnie... Nie ustąpię w niczem, ani na krok! — wołał Jan, lecz głos zamarł mu na ustach, gdy ujrzał wbiegającą z pośpiechem matkę.

Stara kobieta, z rozwianym na czole włosem siwym stanęła, jak piorunem rażona. Oczy jej utkwiły nieruchomo w pobladłej twarzy syna, po której sączyła się krew z niezabliźnionej jeszcze rany. Wtem Hanka rzuciła się ku niej, zaklinając, by też powiedziała Janowi, że obowiązkiem jego pamiętać nietylko o sobie, lecz i o dzieciach...

– Ani słowa, mamo — obiecaliście — wiąże was przysięga! — zawołał Jan w obawie, aby matka nie zdradziła teraz tajemnicy, którą przed nim samym ukrywała tak starannie.

Sladkowa załamała ręce z rozpaczą. W sercu jej walczyła miłość macierzyńska z uczuciami Chodki. Opamiętała się jednak i zwróciła ze skargą do Syki:

— Wójcie, zamordują mi syna!...

— Nie słuchaj Syko! Ani tobie przecie, ani mnie głowy nie roztrzaskają. Płacz i narzekanie pozostawmy kobietom — uspakajał Jan towarzysza.

Bicie ustało jednak na skinienie rządcy, który zwrócił się do Sladkowej:

— Ty, stara, wiesz o wszystkiem. Miej-że rozum i mów — dla ocalenia syna. W przeciwnym razie źle będzie i jemu i wam wszystkim.

Na chwilę w izbie zapanowała cisza. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku starej kobiecie, stojącej pośród izby. Milczała, zdając się namyślać.

— Mamo, pamiętacie, jako nieboszczyk ojciec... zaczął Jan, widząc jej wahanie, nie dokończył przecie, bo matka, podnosząc chmurne oczy na rządcę, mówiła już ze spokojem:

— Nie wiem, — o niczem nic nie wiem, gdybych wiedziała...

— Matusiu! — wyrwało się okrzykiem z piersi Hanki.

— Ha, nie wiesz? — wrzasnął Kosz.

— Nie wiem — powtórzyła głucho.

Rządca nie mówiąc ani słowa więcej, opuścił śpiesznie izbę, aby się naradzić z kolegą, który wraz z kilku żołnierzami przetrząsał komorę wójtowską. Po krótkiej, cichej rozmowie rządca terhanowski pośpieszył z częścią oddziału do domu Kozinów, część zaś wysłał do Przybków, a pozostałym nakazał rozlokować się we wsi załogą.

Dzień dogasał powoli, mrok — coraz czarniejszy — ogarniał nieszczęsną wioskę. Kosmate chmury pędziły z dziwnym pośpiechem nad ziemią. Od czasu do czasu przebłyskiwał między niemi księżyc, rzucając niepewne światło na plac. W jednej z chwil takich z obejścia Kozinów wypadło żołnierstwo i z głośnym wrzaskiem pognało na wójtowstwo. Wiódł ich rządca terhanowski.

Plac przed domem wójta zaroił się ponownie. Żołnierze wyprowadzali chłopów. Na czele szedł skrępowany Maciej Przybek i Jan Sladki Kozina. Tuż za nimi kroczył Syka ze starym Przybkiem, którego podtrzymywał jakiś sąsiad. Chodowie milczeli. Natomiast żołnierstwo hałasowało. Z wrzaskiem ich, chrzęstem pałaszy i tętentem koni mięszał się płacz i narzekanie niewieście. Księżyc wypłynął z poza chmur i posrebrzył hełmy, obnażoną broń i białe żupany Chodów, którzy szli między końmi, jako jeńce. Cała ta gromada ludzi skierowała się w stronę niedalekiego Terhanowa i po chwili zniknęła w ciemnościach.

Z głośnym, rozdzierającym płaczem wracała żona Jana do domu. Obok niej kroczyła stara matka z nisko pochyloną głową. W ślad za nimi pośpieszała Marynka, którą Szerlowski, wuj Pajdar i Psulka z Postrzekowa odprowadzali do Kozinów. Młoda dziewczyna nie mogła wrócić sama do domu, w którym gospodarowali w tej chwili nieproszeni goście. Wolała schronić się pod gościnny dach sąsiadów, równie ciężko, jak ona, ręką losu dotkniętych.

W izbie Kozinów znać było przejście żołnierzy. Mówiły o niem pootwierane kufry, rozrzucone w nieładzie rzeczy, wyważone i pocięte drzwi od komory. Matka Jana, widząc to spustoszenie wymknęła się z całym pośpiechem do swojej chałupy. Tam, w świetlicy panował taki sam nieład, jak i u syna. Ona jednak, na nic nie patrząc, wbiegła do komory i stanęła w progu jak skamieniała. Światło księżycowe, które wpadało tu małem okienkiem, pozwalało dojrzeć odrazu ślady rabunkowej gospodarki. Oczy jednak starej kobiety nie widziały połamanych sprzętów, ani potłuczonych naczyń: patrzyły one w jeden tylko punkt, na podłogę. Dwie deski wydarte i potrzaskane pozostawiły po sobie otwór do głębokiego, murowanego dołu, który służył prawdopodobnie za kryjówkę w dawnych burzliwych czasach. Z głębi dołu ziała ciemność i pustka.

Szkatułka z dokumentami, ostatnim drogocennym skarbem Chodów zniknęła z niego. Żołnierze ją odnaleźli i zagrabili...

Matka Jana stała z pochyloną głową i załamanemi rękami, jakby nad otwartym grobem. Głębokie westchnienie wyrwało się z jej ust. Potem nagle przycisnęła obie ręce do piersi i w tej chwili promień jakiś przemknął po chmurnej twarzy, a boleśnie zaciśnięte wargi rozchyliły się uśmiechem gorzkim, pogardliwym...

VII.

Niebo zaczynało się wyjaśniać. Chmury pomykały za Czerchów i za pasmo gór, którym on króluje. Tam i ówdzie już tylko płynął czarny odosobniony obłok, podobny do drapieżcy, który wytęża wszystkie siły w szerokim rozmachu skrzydeł, aby dogonić towarzyszy, co zniknęli mu z przed oczu w nieobsiążonych przestworach. Poświata księżyca srebrzyła teraz cały poszumawski kraj — i lesiste zbocza Czeskiego lasu, i dumne szczyty, wybiegające nad Kleńczem, Chodowem i zamkiem terhanowskim.

Niedawno wzniesione mury tej ostatniej budowy bieliły się z daleka wśród bezlistnych drzew, a z okien zamku biła łuna od jarzących się wewnątrz świateł. Hrabia gościł u siebie oficerów, którzy wraz z nim przybyli z Pilzna, a mianowicie: pułkownika hrabiego Stampacha i młodziutkiego kapitana, hrabiego z Freudenthalu, o którym służba zamkowa szeptała, że się zaleca do młodszej córki Lammingera, Marji. Starsza, Barbara, była już wówczas poślubiona hrabiemu Wacławowi Hroznacie z Gusteina, pułkownikowi cesarskiemu.

Towarzystwo zamkowe bawiło się do późna. O jedenastej godzinie dopiero światła pogasły w wielkich oknach salonu. Zaczem świeciło się jeszcze przez chwilę w pokojach gościnnych, aż ciemność ogarnęła cały zamek, z wyjątkiem gabinetu samego pana.

Lamminger siedzi w fotelu u kominka, na którym płonie wesoły ogień. Obok, na pięknie rzeźbionym stole, stoi dębowa, misternie okuta szkatułka. Hrabia patrzy uważnie blado-niebieskiemi, zimnemi oczyma w twarz Kosza, który stojąc przed nim w wojskowej postawie, zdaje sprawę z tego, co się działo w Ujeździe, gdy szlachetnie urodzony pan raczył opuścić tę wieś. Opowiada, jako nakazał skrępować najpierw przez ostróżność Macieja Przybka, jak przymuszał do wyznań Sykę i Jana Kozinę.

— I któryż z nich okazywał więcej zaciętości?

— Kozina, miłościwy Panie. Gdy żona jego padła na kolana przedemną, kazał jej powstać i do domu odejść.

— Hm... A cóż mówili, gdy tę skrzynkę przyniesiono na wójtowstwo? — pytał dalej Lamminger, pokazując oczyma dębową szkatułę.

— Zdawało się, że piorun w nich uderzył, miłościwy panie. Syka zwiesił głowę...

— A Kozina?

— Ów był twardszy. A zapamiętały Przybek uniósł się nawet na ojca, gdy ten począł lamentować: „Milczcie, tato, — wołał — zabrali dokumenty, ale przecież pozostały nam pięści.“

— Czy tak? — gdzie kazałeś ich zamknąć?

— Kozinę i Przybka w podziemiach, każdego z osobna, innych w opróżnionej izbie czeladnej.

— To dobrze.

— Zamknąłem też grajka, Rzehurzka. Sam mi się nawinął w ostatniej chwili pod rękę.

Lamminger lekkiem skinieniem głowy wyraził przyzwolenie.

— Czy Wasza Miłość ma jeszcze jakie rozkazy?

— Nie, żadnych.

Kosz złożył głęboki ukłon i opuścił komnatę. Po jego odejściu Lamminger otworzył szkatułę, w której zamek był wyłamany, i przez chwilę wpatrywał się w pożółkłe pergaminy. Zaczem sięgnął po pierwszy lepszy z brzegu, rozwinął i zaczął czytać:

„Nos Carolus, Domini regis Boemiae primogenitus, marchio Moraviae notum facimus — quod quia paterni nostrique fideles dilecti Chodones in Domazlicz...“

Hrabia czytał dalej. W pokoju panowała cisza, przerywana wesołem trzaskaniem ognia na kominku i drżeniem szyb, wiatrem wstrząsanych.

Po dokumencie łacińskim wpadł mu w rękę czeski.

„My, Rudolf, z bożej łaski cesarz świętego państwa rzymskiego i król czeski“... Lamminger przebiegał szybko oczyma dalsze wiersze, gdy czytanie przerwało mu wejście żony, poważnej pani o bladawej, łagodnej twarzy. Miała jeszcze na sobie bogaty strój, w którym przyjmowała gości. Światło płonących na stole świec woskowych skrzesało iskry w agrafach z drogich kamieni i pereł, któremi były przypięte kokardy u jej piersi i ramion, powyżej szerokich bufiastych rękawów. Piękne, ciemne włosy hrabiny wiły się w bujnych lokach z tyłu głowy i nad skroniami, opadając z przodu w drobnych kędziorkach na białe czoło.

Weszła do pokoju z pewną nieśmiałością, a spojrzenie jej utkwiło badawczo w obliczu męża.

— Nie przeszkadzam? — spytała słodko.

— O nie, jakkolwiek oddaję się w tej chwili lekturze nadzwyczaj przyjemnej i zajmującej...

— Twarz hrabiny rozjaśniła się. Oddawna nie widziała męża tak ożywionego.

— Przyszłam ci przypomnieć o spoczynku. Zmęczyłeś się zapewne tą jazdą...

— Nie uczuwam dziś znużenia. Mam na razie, czegom pragnął oddawna — marzenia moje ziściły się — odrzekł, wskazując na rozwinięty pergamin z podpisem Rudolfa.

Żona pochyliła się nad dokumentem.

C. d. n.

Tłum. M. Wysłouchowa.



Nie mów.

Nie mów, że siłą nieugiętej woli
Uczucie z serca jak chwast wyrwiesz lichy,
Że cię wspomnienie nigdy nie zaboli —
Bo żal zostanie, żal wieczny, choć cichy.

Nie mów, że dawnych marzeń ukochania
Tak się bez śladu jako sny rozwieją —
Palić cię będzie tęsknota rozstania
Z twą najpiękniejszą, najczystszą nadzieją.

Twoje sny złote, i walki, i bole
Może myśl dumna swym chłodem zagłuszy,
Może ci spokój zostawi na czole,
Ale pamięci nie wydrze ci z duszy.

Marja Markowska.



CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

5)

Pełna żalu i skruchy, postanawiała sobie znosić ich widok bez wstrętu, oddawać im ukłon.

Ale to postanowienie pierzchało.

Czasami prowadziła syna na łąki. Mario bawił się na trawie, zrywał stokrótki, ciesząc się kwiatami i zielenią; ona siedziała, wpatrzona w morze, upojona ciszą.

Nagle z po za drzew ukazywał się człowiek

w bluzie ceglastej, wlokący za sobą ciężki łańcuch. Cecylja z trudnością tłumiła okrzyk trwogi, bladła, chwytała Maria na ręce i uciekała z nim, co tchu.

I łąka, i morze, i kwiaty, i ten cudny widok, wszystko to zdawało jej się skalanem obecnością zbrodniarzy, wszystko stawało jej się wstrętnem.

Nie mogła się zdobyć na litość; zdawało jej się, że w tym przybytku zbrodni i hańby, nawet jej miłość macierzyńska była znieważona, zdeptana.

Owego dnia właśnie czyniła sobie wyrzuty cięższe, niż zwykle: okazała niewdzięczność mężowi, wymówiła mu niemal dobrodziejstwo, które jej wyświadczył.

On jej odpowiedział łagodnie, lecz poważnie.,. O ile był lepszym do niej!...

Łzy żalu i skruchy spływały na czoło Maria. Dziecię przyzwyczajone do smutków matki, wrażliwe, jak ona, głaskało ją po twarzy.

— Nie płacz, mamusiu, nie płacz, mamusiu — szeptało.

— Ja nie płaczę — rzekła, ocierając oczy. — Mario pójdzie zaraz na spacer z mateczką.

— W wózeczku, mamusiu, w wózeczku! — wołał, czepiając się spódnicy matczynej.

— Tak, mój jedyny, w wózeczku — odpowiadała, tłumiąc westchnienie.

IV.

Wózek był ciężki, zbudowany niezgrabnie przez kowali i stolarzy więziennych, więcej w nim było żelaza, niż drzewa; zgrzytał, jak kajdany, trudno go było posuwać. Ale Mario lubił ogromnie ten wózek i spacery w nim odbywane.

Dla dziecka wątłego, słabego na nogi, prawdziwą rozkoszą było leżeć na miękkich poduszkach, jeździć po wyspie godzinami całemi i rozglądać się dokoła lub oczki przymrużyć i drzemać.

Matka męczyła się prędko, lecz skoro tylko stanęła, malec budził się z pół-snu i wołał:

— Pchaj, mamusiu, popychaj!

— Za chwilę, aniołku — odpowiadała zadyszana.

Ale dziecię powtarzało:

— Popychaj, mamusiu, ja ciebie proszę!

Więc wiozła go dalej, nie zważając na zmęczenie, zapominając o sobie.

Bała się posyłać Maria na spacer ze służącą, a obie kobiety nie mogły opuszczać domu jednocześnie, bo było dużo roboty.

Owego dnia, tak jak wielu innych, Cecylja kazała więc zatoczyć wózek przed sam dom, usadowiła w nim dziecko uszczęśliwione, ukryła je leciutką kołderką. Grazietta patrzała na te przygotowania w milczeniu.

— Gennaro Campanille przyjdzie zawiesić półki. Dobrze uważaj, nie spuszczaj go z oka — zalecała służącej.

Grazietta była żoną przestępcy, który zabił człowieka wśród bójki. Wierna mu w doli i niedoli, wlokła się za nim z Portolongone do Ischji, z Ischji do Nisidy. Robiła nadludzkie wysiłki, by wejść w służbę tam, gdzie on był zesłany; dokazywała tego zawsze dzięki silnej woli i wytrwałości.

Oddawała mu cały swój zarobek, zostawiała mu trzecią część swego pożywienia, spełniając te ofiary w cichości i w prostocie ducha, prawie ukradkiem, bo się bała, żeby jej nie odprawiono.

Jej mąż, drab ogromny, o twarzy ponurej i okrutnej, zakradał się ostrożnie pod okna kuchni, brał od niej talerz z chlebem, z mięsem lub owocami, szedł w kąt i zajadał żarłocznie, jak zwierzę.

Ona wracała do swojej roboty, uszczęśliwiona.

Gdy jej pani zdradzała się ze swą obawą przed galernikami, Grazietta wstrząsała głową z miną osoby doświadczonej i pobłażliwej dla uchybień młodości; przekonana była, że morderstwa są nieszczęściem, a nie zbrodnią i że nieszczęście podobne może się zdarzyć każdemu.

— Dokąd chcesz jechać? — spytała Cecylja synka, otuliwszy go należycie.

— Tam, tam! — wołał, zataczając rączką dalekie koło.

Choć już był październik, akacje były jeszcze okryte liśćmi i rzucały cień na chodniki.

Domy urzędników, dostawców, dozorców, majstrów wyglądały powabnie, a nawet wesoło; można je było wziąć za chatki wiejskie.

Pośrodku, nad temi nizkiemi budowlami, sterczały ceglane gmachy więzienne — sypialnie, refektarze, warsztaty, ciemnice dla opornych przestępców. Z po za domów i drzew, co parę kroków widać było morze, roziskrzone od słońca, wesołe. Dziecię wyciągało rączyny i powtarzało z uśmiechem:

— Tam, tam!

Matka posuwała wózek coraz wolniej, czuła się dziwnie osłabiona. Po drodze odruchowo kłaniała się znajomym — żonom urzędników, córkom dostawców, kilku paniom, które, wyszedłszy za oficerów załogi, mieszkały na wyspie. Szła dalej, zaopatrzona w morze, które było marzeniem jej synka.

Od czasu do czasu przeszedł żołnierz lub galernik, jeden z tych, którym wolno było krążyć swobodnie. Odpowiadała skinieniem głowy na ich ukłon; dziecię uśmiechało się przyjaźnie.

Ale niebawem zmęczenie wzięło górę nad macierzyńskiem zaparciem: Cecylja usiadła na ławce kamiennej. Było tu prawie pusto, kończył się szereg domków, a zaczynało pole.

Dziecię spojrzało na matkę, a widząc jej twarz bladą i spuszczone powieki, trochę wylęknione szepnęło:

— Popychaj, mamusiu, popychaj!

— Zaraz, dziecino, za chwilkę — odparła głosem tak cichym, że nie mógł dojść do uszu Maria.

— Jeżeli Wasza Ekscelencja pozwoli, to ja będę popychał wózek — odezwał się za nią głos męski, silny, ale nieśmiały.

Zkądże się zjawił ów galernik o twarzy białej i słodkich oczach niebieskich? Wyskoczył jakby z pod ziemi. Czego chciał od niej? Spojrzała na niego wystraszona, cała drżąca.

— *Piccerillo* jest ciężki — szepnął pokornie. — Czy Wasza Ekscelencja pozwoli mi wózek popychać?

Zrozumiała nareszcie, o co chodzi i zbladła jeszcze bardziej:

— Nie — zawołała — nie!

On popatrzał na nią w milczeniu, a po chwili rzekł jeszcze pokorniej.

— Wasza Ekscelencja już zmęczona. Proszę mi pozwolić, ja powiozę *piccerilla*.

— Nie! — powtórzyła, lecz już z gniewem.

— Przepraszam, przepraszam za moją śmiałość. Ale potrafiłbym wozić *piccerilla*; jabym się tak łatwo nie zmęczył. Proszę się nie bać! — dodał ze wzruszeniem; łzy drżały mu w oczach.

— Ja się niczego nie boję — odparła sucho — ale nie chcę, żebyś wiózł *piccerilla*

Wstała, i nadludzkim niemal wysiłkiem zaczęła posuwać wózek. Galernik cofnął się, przytem kajdany zazgrzytały; nie nalegał, ale stał jeszcze, patrząc na matkę i na dziecko,

Cecylja trzęsła się z gniewu i oburzenia, upatrując zniewagę nawet w tej pokorze galernika.

Byli już teraz na szerokiem polu. Ścieżka biegła wśród łąk, na których pasły się konie oficerów.

— Mamo — zagadnął chłopczyk po chwili zadumany.

— Słucham cię, kochanku,

— Dlaczego odpowiedziałaś: *nie*, temu galernikowi?

— Bo tak chciałam.

Dziecko umilkło. Po chwili spytało znowu:

— Mamo, jesteś zmęczona, nie możesz mnie ciągnąć?

— Nie jestem wcale zmęczona — zaprzeczyła.

— Wyjmij mnie z wózka i postaw na ziemi.

— Nie, kochanku, odjedźmy trochę dalej; tam odpocznę.

I wlekli się dalej w milczeniu. Wyminęli już kilku szyldwachów. Mario przyglądał się ciekawie żołnierzom i uśmiechał się do nich przyjaźnie.

— Mamo! — zagadnął znowu.

— Słucham, dziecino.

— Wiesz? Ten galernik chciał mnie zawieźć daleko, bardzo daleko.

— Tak, tak.

— On jest nieszczęśliwy — dodał, topiąc spojrzenie w oczach matki.

— Kto ci to powiedział?

— Mówił mi tatuś.

Schyliła głowę i umilkła.

— Mamusiu, czy i żołnierze są także nieszczęśliwi?

— Nie. Żołnierze są uczciwi — odpowiedziała żywo.

— A więc galernicy są nieszczęśliwi, a żołnierze są uczciwi. A ja co jestem, mamusiu? Ja jestem *piccerillo?* Prawda?

— Ty jesteś ukochanym synkiem twojej mamy — rzekła, okrywając go pocałunkami.

Dojechali do łąki, usianej kwieciem. Mały murek oddzielał ich od sąsiedniego pola. Matka zatrzymała się, zmęczona okropnie i usiadła natrawie.

Dziecię spoglądało wdal oczyma zadumanemi. W powietrzu unosił się zapach róż, połączony z wonią dzikiej mięty. Mario usypiał w wózku, matka wypoczywała, lubując się miłym zapachem.

Łąka usiana była kwieciem, ale musiało go być jeszcze więcej po tamtej stronie muru, na polu. Zaciekawiona wstała, żeby się przekonać.

Dziwny widok przedstawił się jej oczom wystraszonym.

Mur, zawalony w wielu miejscach, ogradzał przestrzeń obszerną, ale jej nie zabezpieczał od wtargnięcia ludzi i zwierząt. Trawa tworzyła jakby liszaje na pagórkach i w jamach, upstrzona makami i różami. Dolatywał zapach ziół i kwiatów, ostry, jak zwykle na polach opuszczonych, gdzie roślinność krzewi się, zamiera i odradza się swobodnie.

Gdy tak Cecylja wpatrywała się w to pole, poryte w dziwne bruzdy, okolone murem, a jednak opuszczone i zapomniane, na pogórkach dojrzała małe drewniane krzyżyki, niegdyś czarne, teraz spłókane deszczem i śniegiem. Miały tabliczki żółte, z jakimiś napisami, skreślonymi ręką niewprawną; były to właściwie nie napisy, lecz dwie litery i numer, którym Sprawiedliwość zastąpiła nazwisko.

Te krzyże rozrzucone były, jak gdyby rozproszył je wiatr lub niedbałość ludzka; może runęły na ziemię i wkopano je na chybił trafił, nie tam, gdzie spoczywało ciało, które miały osłaniać swym wązkim cieniem.

Cecylja patrzała i nie mogła oczu oderwać. Po chwili dostrzegła wyraźnie plamy białe, podobne do szczątków kości słoniowej — były to kości ludzkie.

Zasypane lekką warstwą ziemi, cienkie trumny szybko się rozpadły. Umarli wychodzili z grobów, deszcz płókał ich kości, słońce je blichowało.

Te ludzkie szczątki sterczały z pośród wonnej mięty i maków. Nie pomyślano o zakopaniu ich znowu w ziemi, wyrzucającej je ze swego łona.

Cmentarz galerników nie miał nawet grabarza! ciała złożone w cztery deski źle zbite, wrzucano pośpiesznie do dołów; nikt nie przychodził pomodlić się na tych grobach.

Umarli uciekali z ziemi, jak gdyby żądza wolności przetrwała w nich nawet po śmierci.

Przed oczyma Cecylji stanęło straszne widziadło: jej mąż, jej dziecko ona sama, wszyscy spoczną na tym cmentarzu, przeklętym od Boga i od ludzi, zostaną pogrzebani wśród tych chwastów, wystawieni na skwary letnie, na dżdże jesienne, a w dniu zmartwychwstania wyjdą z ziemi razem ze złodziejami i mordercami.

W jej gardle uwiązł okrzyk rozpaczy i zgrozy. Runęła, jak martwa, pod tym murem. Gdy powróciła do przytomności, wśród ogólnej ciszy doleciał ją szelest. Mario leżał w wózeczku na poduszkach, ale już obudzony, uśmiechał się do rudego galernika; ten leżał na trawie i dużym liściem winnej maliny chłodził dziecię i od much je bronił. Mario kilkakrotnie, wskazując na matkę, szeptał do galernika:

— Cicho, mama śpi.

I Rocco powiewał ciszej liściem winnym. Ten olbrzym wydawał się potulnym i dobrodusznym. Rzucona opodal, wśród kwiatów czapka z numerem 417, podobna była do makówki.

Cecylja oparła się na łokciu i patrzała na tego galernika bez strachu i bez gniewu. Numer 417 zerwał się i stał zmieszany, skręcając liść w palcach. Wspomnienie tego, co widziała przed chwilą, wróciło jej, nie budząc już odrazy.

— Wracajmy — rzekła.

I dobrotliwie wskazała rudemu galernikowi wózek. Rocco podniósł czapkę i zaczął go posuwać uradowany.

Szła z tyłu zwalczona i smutna.

(C. d. n.)



Z pism i książek.

Pisanka. Książka zbiorowa pod red. Józefa Jankowskiego. Warszawa MCM.

Na szczególniejszy pomysł wpadła redakcja „Pisanki“, gdyż, sądząc z treści książki, chciała się ona przekonać, czy wszelkiego rodzaju bezwartościowe drobiazgi, o które zresztą nigdzie nie trudno, nabiorą jakiejkolwiek wartości, gdy je się zgromadzi razem, wyda na welinowym papierze i przyozdobi mniej lub więcej udatnymi rysunkami.

Produkt tego eksperymentu — nazwany „Pisanką“, dowodzi, iż rzeczy bez wartości pozostaną takiemi, choćby z nich złożyć dzieło o objętości w dwójnasób przewyższającej kompletne wydanie dzieł Szekspira.

Zawartość „Pisanki“, na którą złożyły się płody ducha aż 58 literatów, podzielić można na trzy kategorje. Są tam utwory ludzi z talentem, napisane jeknak widocznie w słabej chwili, jest to kategorja pierwsza. Do drugiej należą utwory pisane z wielkim rozmachem i wielką starannością, ale bez talentu; w trzeciej zaś kategorji — niestety najliczniej reprezentowanej — są rzeczy pisane bez rozmachu i bez talentu.

Do rzeczy ładnych i z talentem napisanych zaliczyć należy piękną „Modlitwę“ G. Daniłowskiego:

Jam Ci dotychczas nie skarżył się wcale,
Mimo łez w łonie — suche miałem oko,
Bo łzy chowałem tak, jak morskie fale
Chowają perły na dnie swem głęboko...

Dziś po raz pierwszy swe serce otworzę
Ulituj się Boże!
O jedno proszę: za bezsenne noce,
Za me dziecinne modlitwy gołębie,
Za pieśni mojej niespożyte moce,
Za marzeń moich i uczuć mych głębie,
Za myśli mojej wzorzyste kobierce
Zmień jedno serce —
Zmień, niech uderzy z mojem w jedno tętno,
Niech myśl jej w jedno z mą myślą się spłynie
i t. d. i t. d.

Już z powyższych strofek widać, jak wysoko ocenia autor „głębie swych uczuć“, „moce niespożyte swej pieśni“ i „wzorzyste kobierce swej myśli“. Sądząc jednak, że niedość jeszcze dał poznać potęgę swego ducha temu, do kogo się zwraca z modlitwą, pisze dalej dosłownie:

Ja Ci oddam wszystko! oddam me talenty,
Ja Ci dam wszystkie uczuć moich skarby,
Dam ci płonący w piersiach ogień święty,
Melodję słowa, słowa mego farby,
Dam myśli moje, sławę moją biedną
Za serce jedno!

Ciekawa rzecz, coby musiał powiedzieć o sobie autor klasycznego wiersza „Smutno mi Boże“, skoro jego naśladowca w wyłączne swoje posiadanie zagarnął i talenty, i uczucie i melodję słowa, i krasę stylu, i moce pieśni, i myśli, wreszcie sławę nawet?

Niestety, nie możemy tomów zapełniać cytatami: powyżej przytoczona serja superlatywów niechaj wystarczy za próbę.

Proza znajduje się w „Pisance“ mniej więcej na wysokości poezji. Nowela „Zegar“ składa wymowne świadectwo, że przy odrobinie dobrych chęci można nieudolną rzecz zrobić z tematu, który po mistrzowsku już wyzyskał kto inny. (Ign. Dąbrowski w „Śmierci“).

Dwie próbki dramatycznej twórczości (Jana Czempińskiego i W. Łaszczyńskiego) zdają się zapowiadać, że nasza literatura dramatyczna zbliża się szybkim krokiem do najpierwotniejszych form swych — do jasełek, w których role osób odgrywają drewniane figury.

Jest też w „Pisance“, co prawda, kilka drobiazgów, któreby „uszły“ w zbiorowem wydaniu poezji prawdziwego poety — ale są to prawdziwe perły wśród masy banalności — i są też rzadkie, jak perły.

Lwów reprezentowany jest w „Pisance“ przez dwie panie: a nie można powiedzieć, aby ta reprezentacja wyszła mu na niekorzyść. Widocznie z galanterji warszawiacy jeden w drugiego starali się, aby płody ich muzy nie stanęły w tym samym rzędzie.

Ogólne wrażenie: Dużo dobrych chęci, jeszcze więcej zarozumiałości, mało talentu, brak tematów, piękne wydanie — szkoda! *Dr. K. Rakowski.*



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.